

1 sierpnia 2019



Było w nas tyle nadziei...

Kazimierz Kocowski, kapitan w stanie spoczynku, ostrowczanin, rocznik 1933, obecnie prezes Zarządu Koła Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej im. mjr "Ponurego" w Ostrowcu Świętokrzyskim. Urodził się, dzieciństwo i młodość spędził w Warszawie. Do dziś pamięta 1 sierpnia 1944 roku...

Tamtego roku, 1 sierpnia postanowiłem odwiedzić mieszkającą na Woli, przy ul. Ogrodowej, moją babcię. I kolegów, którzy mieszkali w pobliżu. Wyszedłem z domu, a mieszkałem przy ul. Twardej 11, w tym miejscu obecnie mieści się Supersam, nawet śladu nie ma po moim domu. Wyszedłem na ul. Żelazną, a potem na Grzybowską. Panował tam dość duży ruch, a

tego dnia szczególnie się wzmógł szum i gwar. Dorożki pędziły, a między pojazdami uwijali się właściciele małych rikszy. To było, jak na tamte wojenne czasy, niezwykle. Jakbyśmy wszyscy wiedzieli, że zaraz coś się wydarzy... Wszyscy czuli, że za 2, może za 3 dni do Warszawy dojdą Rosjanie. Byli tak blisko, że szczególnie nocami słychać było odgłosy toczących się walk.

W okresie okupacji warszawska ulica była niebezpieczna. Należało zawsze mieć się na baczności i obserwować otoczenie. W razie czego - umknąć. Na ul. Grzybowskiej zobaczyłem mężczyznę, ubranego w płaszcz. Niezwykle. To był przecież sierpień, upał, środek lata. Kiedy na ul. Żelaznej zobaczyłem dwóch kolejnych, ubranych w płaszcze i zapiętych na wszystkie guziki, zrozumiałem, że pod okryciami ukryta jest broń. Przyspieszyłem kroku i doszedłem do kolejnej ulicy, Wroniej. Tam, na rogu Wroniej i Ogrodowej mieścił się sklep. Dzisiaj powiedzielibyśmy - sklep wielobranżowy, a wówczas: "szwarc, mydło i powidło". Z tego sklepu wychodził żandarm, przy pasie miał przypiętą parabelkę. Nagle podszedł do niego mężczyzna i krzyknął „Hände hoch!”. Niemiec, zamiast podnieść ręce, sięgnął do kabury. Padł strzał, bardzo celny. Niemiec zwałił się z nóg i padł bez życia. Do niego podszedł mężczyzna, który strzelał i wyjął z kabury zabitego parabelkę. Przechodnie wiedzieli, że w takiej sytuacji trzeba uciekać, zanim przyjedzie samochód zwany "budą", z żandarmerią, karabinem maszynowym gotowym do strzału. Ja też umknąłem i po dotarciu do mieszkania babci opowiedziałem o wszystkim, co widziałem. Babcia prosiła, żebym został w domu, ale mnie niosło do kolegów.

Wpadłem do mieszkania Staszka, a u niego byli inni koledzy. Opowiedziałem o wszystkim, co się wydarzyło. Dzieliłiśmy się wiadomościami, snuliśmy przypuszczenia i domysły. Podnieceni i bardzo bojowo nastawieni zaczęliśmy śpiewać żołnierskie piosenki. A wtedy w Warszawie była bardzo dobrze znana piosenka o sercu w plecaku. Śpiewaliśmy tę piosenkę, ile sił, gdy nagle dotarł do nas odgłos wystrzału z broni maszynowej. Podbiegliśmy do okna i zobaczyliśmy auto, jadące w kierunku bramy i strzelającego seriami z karabinu maszynowego mężczyznę. Był ubrany w kombinezon, a na rękę miał białą-czerwoną opaskę. Samochód próbował umknąć, ale wybuch, pewnie granatu, udaremnił jego ucieczkę. W tym momencie spojrzałem na zegar. Była 16.00. Nie wszędzie powstanie wybuchło o godzinie "W".

Wybiegliśmy na ulicę, ale natychmiast schowaliśmy się do bramy, bo na placu przed nami trwała walka. A kule świszczały niebezpiecznie. Nadeszła noc, pełna nadziei, emocji, wrażeń. Niepokój wzbudzały odgłosy toczących się walk, dochodzących z dalszej i bliższej odległości. Słychać było strzały, wybuchy granatów... I tam przebiegła pierwsza noc powstania.

2 sierpnia zaczął się pięknym słonecznym porankiem. Mieszkańcy domu przy Ogrodowej

wylegli na ulicę. We wszystkich oknach powiewały biało-czerwone flagi. Nie widzieliśmy ich przez długie 5 lat. Nagle wybuchła wolność. Nie ta siermiężna, późniejsza, ze stycznia 1945 roku, a prawdziwa wolność warszawskiej ulicy. Było w nas tyle nadziei...

Tłum ogarnęła radość i wzruszenie. Odśpiewano hymn, a potem Rotę ze szczególnym zaakcentowaniem słów "...twierdzą nam będzie każdy próg!". Po odśpiewaniu pieśni większość zebranych rozeszła się do domów. Do pozostałych podszedł żołnierz, poprosił o pomoc przy budowaniu barykady. Mieliśmy przepchać samochód, rozbity pierwszego dnia powstania ulicą Ogrodową. To miała być pierwsza osłona, zza której powstańcy mieli uderzyć na budynek zajęty przez Niemców. Otrzymaliśmy wtedy z ciężkich karabinów maszynowych ostrzał i wszyscy mężczyźni, którzy pomagali pchać ten samochód, zostali zabici. Mnie uratował tylko mój chłopięcy wzrost.

5 dnia powstania cudem udało mi się przeżyć. Chcieliśmy z kolegami zorganizować tzw. sztafetę - butelki napełnione benzyną mieliśmy użyć do ataku na czołgi niemieckie, przejeżdżające przez ul. Towarową. Kolejno koledzy zajmowali bramy domów. Ja miałem być ostatnim w szeregu. Biegłem ulicą, nagle usłyszałem szum i krzyk i wybuch - sądzę, że był to pocisk z działa czołgowego, odłamki uderzyły mnie w głowę. Padłem i straciłem przytomność. Kiedy się ocknąłem, poczułem, że jestem na noszach. Usłyszałem głos kobiety - Leż spokojnie, jesteś ranny. Donieśli mnie do jakiegoś polowego szpitala. Usłyszałem męski głos - Dawać go na stół! Znowu straciłem przytomność. Usunięto odłamki, a głowę zszyto na okrętkę. Tam odnalazł mnie brat mojej mamy, który mnie stamtąd zabrał. Prawdopodobnie uratował mi życie, bo Wola wkrótce została opanowana przez Niemców, a wszyscy przebywający w szpitalach zostali zamordowani.

Jeszcze długo walczyłem o powrót do zdrowia.

I zawsze będę tam myślał, wierny warszawskiej ulicy, bombardowanej, palonej ogniem, skrwawionej podczas oblężenia w 1939 roku, krwawiącej plutonami egzekucyjnymi podczas strasznego okresu okupacji, walczącej w osamotnieniu przez 63 dni...



fot. archiwalna - Muzeum Powstania Warszawskiego
fot. współczesna - Andrzej Nowak